Dodatek do Nru 421. „Dziennika Krakowskiego"

Kraków dnia 30 maja 1897.

Śmierć matki.

O Tod, du bist ein Paradies
Für pöbelscheue, zarte Ohren;
Der Tod ist gut, — doch besser wär's
Die Mutter hätt' uns nie geboren.

Heine.

Nareszcie nad grobem! — Maju, jakżeś brzydki, — ten gaj nagrobków ładniejszy. Tak duszno i ciężko, a na twarzy niebios jakieś wypieki chorobliwo-błękitne, jak na twarzy trupa...

O tłumy, rozstąpcie się nieco, zróbcie miejsca trochę! Chcecie się nasycić widokiem czarnej krepy, widokiem spazmów płaczu, wieńców, trumny; — wyciągacie szyje, łowiąc chciwie uchem słowa bolesnych wspomnień, jakby wam wspomnienia milsze były, niż nadzieje, — wyłupiacie oczy w dyszący grób... Na Boga, wstecz! wpadniecie. —

I już po spektaklu i zadowoleni z dnia spacerują do domów, aby przyjemne wrażenia zajeść, zapić i zaspać. Z grobów śmierci do grobów życia. — — —

Jak tu pusto, ciemno i parno; przez przymknięte okna dolatuje z promenady gwar, wrzawa, muzyka — niby straszny szaleńców śmiech. Zapewne śmieją się z rozpaczy... Ah! — — —

O ludzie! czy umiecie kiedy z żalu płakać szczerze? całą duszą płakać? — ach nie, — tak płakać nie umiecie, bo albo płaczu nie znacie, albo jesteście wirtuozami płaczu, — albo w płaczu wcale nie wćwiczeni, albo przećwiczeni. Płacz to mimowolny, machinalny, choćby nawet mistrzowski. Nie wyobraźnia wasza płacze rozszarpana, lecz instynkt zegarowy przyzwyczajenia, przykładności, instynkt zmysłowej straty, a nieraz może instynkt pozowania... A zresztą, wszak to tak przyjemnie wespół wzdychać, przypominać, oskarżać los i ludzi, kiwać smutnie głowami i być — po wszystkiem — opiekuńczym aniołem. To, co was spędza na miejsce pożaru lub popełnionej zbrodni, do domu żałoby albo na cmentarz za obcą trumną, wiedzie was także na wesele, do cyrku, do panoramy, do szynku: nudy! Oczy wasze wytrzeszczone, obłąkane szukają pokarmu z zewnątrz, bo na wewnątrz nie widzą nic... Wyobraźnia wasza niedołężna, myśl leniwa oczu nasycić nie może; upijają się więc alkoholem sensacyi. Śmierci wasz żywot nędzny zawdzięczacie, wy smakosze śmierci — i nie współczucie gromadzi was koło trupa, ale wdzięczność... A przy sposobności świętoszkowość improwizuje amatorski koncert płaczu — na jedną nutę, a potem molochowy tłum z krwiożerczą dzikością tłoczy się na cmentarz, aby mieć swoje *circensens*! — Tak, łzy żalu rzadko tylko szczere; najgłębsze jeszcze, gdy umarł blizki krewny, bo płyną z głębin intuicyi; gdy zginął przyjaciel, który nam umilał życie, albo nasz dobroczyńca, albo dłużnik; — gdy je nam wytłacza nieubłagany rozum naszego egoizmu. Zresztą mamy tylko szczerość pajaca albo płaczki, zresztą w śmierć rozumnie wierzyć łatwo nam przychodzi, bo to cmentarne życie tak już nas spodliło, że się nam nieraz wydaje życiem w rajskim ogrodzie. — Lecz płakać wyobraźnią wszechcierpiącą i miłującą, prometeuszową wyobraźnią płakać — gdzież jesteśmy zdolni —?

Przebóg! tak płakać — istne samobójstwo, grzech śmiertelny. Cnotliwi wierzą, że ten tylko w niebiesiech zbawion będzie, co chce wyżyć się jak najbardziej i najdłużej, choćby wiecznie, i mówią, że to nie utylitarny paradoks, lecz najpierwsze przykazanie, z którego innych dziesięć. — Więc nie bluźnią Bogu, gdy im daje krótką wyobraźnię, a matkom małego ducha, ani nie szemrają, gdy matki ducha giną młodo, a duch ten zaledwie w żywym zakiełkował płodzie; cnotliwi chcą módz zapomnieć jeszcze o cierpieniach matek, o morderczym widoku matczynego trupa, aby żyć mogli długo na tym pięknym świecie. — Daj więc, o Boże, matkom naszym świadomość, że dobra matka winna dla szczęścia dzieci wszystko, wszystko... poświęcić; oby były matkami dobremi — jak ta!

Ducha w swej duszy miała, jak wulkan tajemna, bezdenna, gorąca, — sięgająca niebios. I jak u stóp wulkanu, niemego swą skromną wielkością pragnęło się nieraz u jej stóp uklęknąć w kornem uwielbieniu i całować stopy. Bo któż odgadnąć zdołał, ile się uczucia w tych głębinach kryło, ile w nich ciepłych prądów życiowych nurtowało, ile potężnych, stłumionych pragnień tam utonęło na zawsze, nie wybuchnąwszy nigdy ani słowem, ani czynem, ani jękiem, ani radością. Któż ją rozumiał? — Tylko z temperamentu ruchów, z serdeczności uśmiechu, z nieutulonej troski, gdy cierpiała cierpieniem lub tylko smutkiem swoich, z jej ciemnych oczu, z których niekiedy jak z niezgłębionego krateru mglił się obłok rezygnacyi, wyrzekającej się siebie i świata, z litościwej niewyczerpanej szczodrości, zresztą tylko z wymownego milczenia, z milczącego czynu, — przeczuwałeś, że w tych nieodgadnionych głębiach wielkiej, duszy życie nagromadziło wspaniałe skarby myśli i uczuć — poświęcone milczeniu... Bo na zewnątrz tryskały bystrem życiem owe jedynie prądy, które się ani przezwyciężyć, ani powstrzymać nie dają, bo są warunkiem i źródłem ludzkiej natury, ale — tryskały za to zaprawdę z żywiołową siłą, tryskały miłością szczęśliwą z ofiary, — miłością żony córki, matki, — wszechwładną miłością!

Matką była cała jej dusza od narodzenia, była arcymatką, rzecby się chciało matką-specyalistką. Była taką matką, jakby się młodej śmierci bała, jakby żyła w trwodze, że żadna nie wystarczy miłość, aby w duszach dziatek utrwalić na zawsze niczem nie zatartą pamięć matczynej miłości. — Czyżby przeczuwała?... Może nawet przesadną była matką, ale czem, jeśli nie przesadą, jest ideał?

Miłość macierzyńska to wieczna, najbardziej ze wszystkich naturalna i niezawodna miara kobiecej inteligencyi. — O, ideale matki, Tyś zarazem i aniołem-stróżem i wieszczem przeczucia i poetą baśni i myślicielem-psychologiem! Tyś ideałem pedagoga i rozumu życiowego; Tyś wiekuistym geniuszem-twórcą, zdolnym stworzyć z niczego czarowny, boski świat ludzkiego życia. Jesteś święta, Matko, boś poświęcenia pełna! Wyobraźnia, któraby Cie bie, bolesna Rodzicielko, całą naprawdę odtworzyła, rozprysnąćby się musiała w nicości, zanimby słowo zrodziła!

Czemuż, czemuż nie wszystkim dane wychować się u własnych matek, u takich matek? Zaiste, nie potrzebaby milionowych tytanicznych walk, jakie ludzkość stacza od wieków na wieki, aby raj znaleźć na ziemi: wtedy bylibyśmy nawzajem zbawicielami i niebianami w szczęściu z pełnej poświęcenia miłości, radowali byśmy się i płakali współczuciem boskiej wyobraźni, bylibyśmy jednem ciałem i jednym duchem. Wtedy byłaby równość! Ale to nazwać trzeba głupstwem, bo to nie po ludzku mądre... Automat zostanie automatem wiecznie, choćby to był automat myśli i czucia, choćby się łudził, że początek i koniec wszech rzeczy i rozwiązanie zagadki tkwi w maszynie, wytwarzającej — maszyny i zagadki.

Widzisz tę postać trupią tam wśród wieńców, świec i girland na tle kiru? widzisz ten płaczący wyraz na jej twarzy, co w sobie duszę matki i dziecka kojarzy —? Gdzie reszta? — Popiół wspomnienia. — A może da się naprawić jeszcze? Tak mało tam się zepsuło! tylko coś się przerwało... Możeby staranna jakaś operacya? jakieś odżywcze leki? Wszak jeszcze tutaj, jeszcze cała... Świat cały, daję życie za lekarstwo takie!

Odgrzebaj rękami mogiłę, — jeszcze świeża, — i patrz, czy żyje. Dość jeszcze maryonetek żyje, lecz nie wiedzą chwili... I tylko to, co rzeczywiście nie istnieje — ciało — zostaje, a co jedynie pewną jest rzeczywistością — życie — znika jak senna mara.

Gdzież jesteś święty, przeczysty płomieniu miłości, przenikającej na wskroś duszę matki i dziecka? gdzie, o życiodajny zdroju szczęścia macierzyńskiego i szczęścia dzieci, co taką miały matkę?... Ach, na całym tym ogromnym świecie, wśród wszystkich niepoliczonych, choćby najlepszych dusz ludzkich już te sieroty nie znajdą ani jednej iskry ze słonecznego płomienia, który rozświetla mroczne ciemności, ilekroć się czają u stóp skołatanego wędrowca, aby zasłoniwszy widok, sprowadzić go na bezdroża i wkraść się do jego duszy i wyłowić resztki blasków wiary i nadziei i zatruć zwątpieniem i wstrętem do życia; już te duszyczki nieświadome jeszcze strasznego ciosu, nie znajdą w oceanie ludzkich namiętności ani jednej kropelki z tego samego zdroju anielskiego szczęścia, które drżącym nurtem krążyło z łona do łona i tą samą falą mlecznej czystości i słodyczy karmiło dwa życia... już ten prąd przerwany na wieki! Schorzałe miłością serce pękło, a bez serca żyć na tem świecie nie można... Śmierć była częścią jej życia. Wczoraj jeszcze —

Oto oczy moje czują powiew tej ruchliwej, smukłej postaci, woniejącej świeżą młodością, tego miłego gościa, zjawiającego się nagle niby duch dobry, nieraz — w dowód swojej łaski — z dziecinami swemi. Na tamtym fotelu, przy czarnym, błyszczącym stoliku... Jaka szczęśliwa, że patrzy na te dwa lube aniołki; odpowiada na wszystkie pytania, jakie jej bez końca zadają, pokazuje wszystko; — w rozmowie dorywcza, serdeczna. Wtem już się zerwała, już dzieci ubrała i już jej niema... — Oto u niej znowu, dokoła długiego stołu siedzą weseli biesiadnicy i biesiadniczki, a duch jej tkliwej, troskliwej gościnności krąży koło nich i błogosławi — — potem tańce; wśród gości miga szybko blask jej postaci; sama rozgorączkowana, umęcza młodych, aby nie marnowali czasu... to znowu jest zakłopotanym reżyserem i sufflerem dziecinnego teatrzyku i znów mnóstwo krewnych i znajomych, a na estradzie chłopczyki i dziewczątka, wygłaszające z dziecięcą powagą mozolnie wyuczone, zabawne komedyjki; w antraktach muzyka domowa... to znowu żywe obrazy: dzieci

w kostyumach na tle bengalskich świateł: Mignon... to znowu na marach tam wśród wieńców, świec i girland na tle kiru... to znowu... ha! — — Zbliżcie się, zbliżcie dziecinki, widzicie? wasza mama! — Cicho, cicho, nie płaczcie, jeszcze ją zbudzicie, — tak, tak — zbudzicie!.. Nie obejmujcie waszemi śnieżnemi rączkami martwej głowy, nie całujcie ust pączkami bladego oblicza... To nie mama...

Może przecież zapłaczesz, zaszlochasz, ludzka wyobraźnio, tak jak ta matka w chwili śmierci łkała? — „Pamiętaj o dzieciach, mój luby, pamię — taj — och — pa — mię — taj!„

Znasz, co trwoga śmierci, choćby i niematki? — Noc czarna jak grób... Tam na łożu żywcem pogrzebany, samotny, w drgawce śmiertelnej — kona... Jak wygląda!!...

Coś tam jęczy na dworze okropnie, przeciągle i rozdziera łono świata i wszechświat cały w płomieniach! — — Gehenna!! — — —

Dławi, pali mnie żądza w takich umierać katuszach, konać w męczarniach matki, ale zato na chwilę bodaj przed końcem być jasnowidzącym, pojąć całą straszliwość tortury, całą życia piekielność i zapłakać okropnym płaczem wszechcierpiącej wyobraźni, a potem rozszarpać się z rozpaczy...

A. L-k.

Z Drukarni Narodowej F. K. Pobudkiewicza w Krakowie.